

Nie każde okno jest domem

Była sobie kobieta imieniem Hanna, która przez wiele lat mieszkała w domu bez powietrza.

Nie dosłownie.

Okna się otwierały. Drzwi chodziły lekko. W kuchni był wyciąg, w łazience kratka wentylacyjna, w sypialni nawiewnik, który zimą syczał cicho, gdy wiatr szedł od północy. Lekarz nigdy nie powiedział, że Hanna ma chore płuca. Na zdjęciach wyglądała zdrowo. W pracy mówiła pełnymi zdaniami, w sklepie uśmiechała się do kasjerki, na rodzinnych spotkaniach potrafiła zapytać, czy ktoś chce jeszcze sałatki.

A jednak w domu oddychała płytko.

Miała męża, Wiktora.

Nie był złym człowiekiem w sposób oczywisty. Nie bił, nie pił do utraty przytomności, nie znikał na tygodnie, nie robił scen na ulicy. Pracował, przynosił pieniądze, naprawiał krany, pilnował przeglądu samochodu, potrafił ugotować rosół, kiedy dzieci były małe i chore. Ludzie mówili:

— Porządny mężczyzna.

Hanna kiwała głową.

Bo jak zaprzeczyć czemuś, co w połowie jest prawdą?

Wiktor był porządny.

Tylko że jego porządek nie miał miejsca na cudzy oddech.

W domu wszystko miało swój sposób.

Kubki stały uszami w jedną stronę. Buty nie mogły być odstawione krzywo. Cisza musiała oznaczać zgodę, nie odpoczynek. Zmęczenie Hanny było dopuszczalne, jeśli miało uzasadnienie. Smutek musiał mieć powód. Radość nie mogła być zbyt głośna. Pomysł trzeba było najpierw przełożyć na plan. Plan na koszt. Koszt na sens.

— Po co? — pytał Wiktor bardzo często.

Po co ta roślina na parapecie?

Po co przemeblowanie?

Po co nowy kolor ściany?

Po co spotkanie z koleżanką, skoro wczoraj rozmawiały przez telefon?

Po co spacer bez celu?

Po co świeca, skoro jest światło?

Po co cisza, skoro można powiedzieć, o co chodzi?

Hanna coraz rzadziej odpowiadała.

Nie dlatego, że nie miała odpowiedzi.

Dlatego, że nie wszystko, co żywe, umie obronić się przed pytaniem „po co”.

Z czasem nauczyła się oddychać tak, żeby nie poruszać powietrza w domu zbyt mocno.

Dzieci dorosły i wyprowadziły się.

Dom zrobił się cichszy, ale nie bardziej przestronny. Są domy, w których obecność dzieci zakrywa brak oddechu dorosłych. Gdy dzieci odchodzą, nie zostaje spokój. Zostaje sam układ.

Pewnego dnia Hanna pojechała do miasteczka nad rzeką, gdzie odbywał się jarmark starych książek. Nie szukała niczego konkretnego. To było dla niej nowe. Wiktor został w domu, bo jarmarki uważał za miejsca, w których ludzie kupują cudzy kurz.

Hanna chodziła między stoiskami powoli.

Dotykała grzbietów książek, czytała tytuły, których nie знаła, oglądała pocztówki z mostami, których już nie było. Przy jednym ze stoisk siedział mężczyzna w Inianej koszuli i naprawiał pękniętą ramkę starej fotografii.

Nie sprzedawał.

Przynajmniej nie od razu.

Miał na imię Leon.

— Pan tu handluje? — zapytała Hanna.

— Trochę handluję, trochę pilnuję, żeby rzeczy nie udawały martwych.

Uśmiechnęła się.

— To brzmi niepraktycznie.

— Właśnie dlatego się przydaje.

Nie wiedziała, dlaczego została przy tym stoisku dłużej.

Może dlatego, że Leon nie zapytał, czego szuka. Może dlatego, że nie zaproponował jej od razu książki. Może dlatego, że nie próbował niczego sprzedać. Siedział, naprawiał ramkę, a wokół niego stare książki leżały tak, jakby nie musiały natychmiast udowadniać swojej wartości.

Hanna wzięła do ręki cienki tom wierszy.

— Dobre? — zapytała.

Leon spojrzał na okładkę.

— Nie wiem, czy dla pani.

— A dla kogo?

— Dla kogoś, kto nie chce, żeby wiersz go przekonał. Tylko żeby otworzył okno.

To zdanie weszło w nią łagodnie.

Nie jak objawienie.

Jak powietrze.

Kupiła tomik.

Potem jeszcze pocztówkę z rzeką.

Potem wróciła do domu.

Wiktor zapytał:

— Po co ci to?

Hanna spojrzała na książkę w swojej dłoni.

Po raz pierwszy od dawna nie chciała tłumaczyć.

— Żeby było — powiedziała.

— To nie jest odpowiedź.

— Dla mnie jest.

Nie pokłócili się.

Wiktor tylko wzruszył ramionami. Ale tego wieczoru Hanna usiadła przy oknie i przeczytała kilka wierszy. Nie wszystkie zrozumiała. Niektóre były dziwne. Jeden miał tylko cztery wersy i tak dużo ciszy między nimi, że poczuła, jak jej klatka piersiowa rozszerza się nieznacznie.

Tydzień później pojechała znów do miasteczka nad rzeką.

Nie mówiła Wiktorowi, że jedzie do Leona. Powiedziała, że jedzie po książki. To było prawdą częściową, a prawdy częściowe bywają pierwszym schronieniem ludzi, którzy nie mają jeszcze odwagi mówić pełnym oddechem.

Leon był na tym samym miejscu.

— Wróciła pani — powiedział.

— Kupiłam za trudny tomik.

— I dobrze.

— Dlaczego dobrze?

— Łatwe książki często zamykają człowieka w tym, co już wie.

Rozmawiali długo.

O książkach, o rzece, o tym, że rzeczy używane mają czasem więcej powietrza niż nowe. Leon nie pytał o jej małżeństwo. Nie pytał, czy jest szczęśliwa. Nie mówił, że widzi w jej oczach smutek. Nie wyciągał z niej niczego.

I właśnie dlatego przy nim powiedziała więcej, niż planowała.

— W domu często nie mogę oddychać — powiedziała nagle.

Leon nie poruszył się.

— Dosłownie?

— Nie.

— To gorzej.

Spojrzała na niego.

— Dlaczego gorzej?

— Bo na duszne mieszkanie można wezwać kogoś od wentylacji. Na duszny układ trudniej.

Hanna zaśmiała się cicho, a potem prawie się rozplakała.

Leon podał jej chusteczkę.

Bez komentarza.

To było ważne.

Są ludzie, którzy podają chusteczkę jak narzędzie uciszenia: wytrzymaj, uporządkuj twarz, wróć do rozmowy w przyzwoitej formie. Leon podał ją tak, jak podaje się komuś kubek wody na drodze. Bez pośpiechu. Bez żądania, żeby zaraz było lepiej.

Od tamtego dnia Hanna zaczęła jeździć do miasteczka częściej.

Nie zawsze do Leona. Czasem nad rzekę. Czasem do małej kawiarni. Czasem chodziła po ulicach, które nie znały jej roli żony Wiktora, matki dorosłych dzieci, kobiety od sałatki, domu i poprawnie ustawionych kubków.

Ale najczęściej trafiała do stoiska z książkami.

Przy Leonie oddychała.

To było najprostsze zdanie i najniebezpieczniejsze.

Nie dlatego, że między nimi od razu pojawił się romans. Nie. Przez długi czas nie dotykali się nawet dłońmi. Nie było wielkich wyznań, ukradkowych pocałunków, dramatycznych wiadomości wysyłanych nocą. Było siedzenie przy stoisku, rozmowa, herbata z termosu, książki, rzeka, cisza, która nie wymagała tłumaczeń.

Hanna wracała do domu spokojniejsza.

Wiktor zauważył.

— Masz lepszy humor po tych książkach.

— Może.

— To dobrze.

Powiedział to szczerze.

I właśnie ta szczerłość była trudna. Bo Wiktor nie był potworem, od którego można było odejść z czystym gniewem. Był człowiekiem, przy którym Hanna przez lata traciła oddech, ale który sam często nie wiedział, że jego porządek zamienia się w ciężar.

Pewnej jesieni jarmark się skończył.

Leon zamknął stoisko, ale zaprosił Hannę do swojego domu, gdzie trzymał książki i odnawiał stare ramy.

— Może pani wpaść po ten atlas roślin, o którym mówiłem.

Pojechała.

Dom Leona stał na skraju miasteczka, blisko rzeki. Był nieduży, trochę krzywy, z oknami różnej wielkości i kuchnią, w której garnki wisały nie po kolei. Na stole leżały książki, dłuta, miska z jabłkami i filiżanka po kawie z poprzedniego dnia.

Hanna weszła i poczuła powietrze.

Nie zapach czystości.

Nie porządek.

Powietrze.

Jakby w tym domu nic nie musiało natychmiast stać się właściwe.

— Przepraszam za bałagan — powiedział Leon.

— To nie bałagan.

— A co?

Hanna rozejrzała się.

— Ślady.

Leon uśmiechnął się.

Usiedli w kuchni. Piła herbatę z kubka z pękniętym uchem. Przez okno widać było rzekę. Leon opowiadał o starych mapach. Hanna słuchała i czuła, że jej ciało odpoczywa głębiej, niż powinno przy cudzym stole.

Kiedy wracała, było już ciemno.

W samochodzie powiedziała na głos:

— Przy nim oddycham.

Zdanie zabrzmiało jak odkrycie.

A każde odkrycie, jeśli jest długo głodne, bardzo szybko chce stać się decyzją.

W następnych miesiącach Hanna zaczęła myśleć o Leonie jak o miejscu.

Nie tylko o człowieku.

Miejsce oddechu.

Miejsce ciszy.

Miejsce bez pytania „po co”.

Miejsce, w którym nie trzeba było ustawiać kubków.

Zaczęła mówić sobie:

— Tam jest mój dom.

Choć jeszcze w nim nie mieszkała.

To jest częsty błąd ludzi, którzy długo dusili się w jednym miejscu: pierwsze otwarte okno biorą za cały dom.

Nie ze złej woli.

Z pragnienia powietrza.

Wiktor czuł, że coś się zmienia.

Nie był głupi. Tylko nie znał języka, w którym mógłby o tym zapytać inaczej niż przez kontrolę.

— Często tam jeździsz.

— Tak.

— Do książek?

— Także.

— Kto tam jest?

— Ludzie.

— Jacy ludzie?

Hanna milczała.

— Masz kogoś?

To pytanie spadło między nimi ciężko.

Gdyby powiedziała „nie”, skłamałaby. Gdyby powiedziała „tak”, uprościłaby coś, co nie było jeszcze ani romanssem, ani przyjaźnią, ani ucieczką, ani domem. Było oddechem.

— Jest człowiek, przy którym mogę oddychać — powiedziała.

Wiktor spojrzał na nią jak na obcy przedmiot.

— Co to znaczy?

— Nie wiem jeszcze.

— Czyli masz kogoś.

Hanna zamknęła oczy.

Tak zaczynają się dramaty: jedno słowo przychodzi za wcześnie i zajmuje miejsce całej prawdy.

Po tej rozmowie nie było już powrotu do dawnego domu.

Nie dlatego, że Hanna natychmiast się wyprowadziła. Przez jakiś czas mieszkali jeszcze razem. Wiktor próbował się zmienić. Naprawdę próbował. Nie pytał przez tydzień „po co”. Przetawiał kubki inaczej i udawał, że mu nie przeszkadza. Kupił kwiaty. Zaproponował spacer.

Hanna widziała jego wysiłek.

I było jej smutno.

Bo czasem drugi człowiek zaczyna otwierać okno dopiero wtedy, gdy my już wiemy, że przez wiele lat uczyliśmy się oddychać poza domem.

Nie odeszła z triumfem.

Odeszła z bólem.

Wynajęła najpierw małe mieszkanie. Nie zamieszkała od razu u Leona. To była jej jedna mądra zwłoka. Mieszkanie było skromne, z kuchnią wielkości szafy i widokiem na ścianę sąsiedniego budynku. Ale należało do niej w tym sensie, że nikt nie pytał, dlaczego kubek stoi akurat tam.

Leon odwiedzał ją czasem.

Przynosił książki, jabłka, stare ramki, które chciał jej pokazać. Siedzieli na podłodze, bo nie miała jeszcze stołu. Śmiali się. Milczeli. Całowali się ostrożnie, jak ludzie, którzy długo obchodzili własne pragnienie bokiem.

Przy nim nadal oddychała.

Po roku zaproponował:

— Może zamieszkaasz u mnie?

Hanna długo milczała.

— Boję się.

— Mnie?

— Nie wiem.

— Domu?

— Może.

Leon wziął jej dłoń.

— U mnie nikt nie będzie ci mówił, gdzie mają stać kubki.

To ją wzruszyło.

I trochę uśpiło.

Przeprowadziła się w maju.

Dom nad rzeką przyjął ją najpierw pięknie.

Poranki z mgłą.

Herbata w kuchni.

Książki na parapetach.

Leon pracujący przy ramach.

Rzeka za oknem.

Wieczory bez telewizora.

Cisza, w której można było po prostu siedzieć.

Hanna mówiła sobie:

— To jest dom.

Ale mieszkanie razem zaczyna się dopiero po tym, jak pierwsze powietrze przestaje być cudem.

W czerwcu odkryła, że Leon nie zamyka szafek.

W lipcu, że zostawia mokre ręczniki na krześle.

W sierpniu, że potrafi przez trzy dni nie odpowiedzieć na ważne pytanie, bo „musi je ponosić”.

We wrześniu, że jego cisza, która przy stoisku była przestrzenią, w domu czasem staje się nieobecnością.

W październiku, że Leon nie planuje rachunków, dopóki nie staną się pilne.

W listopadzie, że jego dom pełen śladów bywa także domem rzeczy niedomkniętych, niedopowiedzianych, zostawionych, odłożonych, rozpoczętych i nieskończonych.

Hanna zaczęła się napinać.

Nie tak jak przy Wiktorze.

Inaczej.

Przy Wiktorze brakowało powietrza, bo wszystko było zbyt domknięte.

Przy Leonie brakowało podłogi, bo zbyt wiele zostawało otwarte.

Na początku wstydziła się tego przed sobą.

Przecież przy nim oddychała.

Przecież to on był oknem.

Przecież nie pytał „po co”.

Przecież nie ustawiał kubków.

Dlaczego więc coraz częściej budziła się z niepokojem?

Dlaczego drażnił ją kubek z pękniętym uchem?

Dlaczego chciała, żeby rachunki leżały w jednym miejscu?

Dlaczego cisza Leona zaczynała przypominać drzwi bez klamki?

Pewnej nocy pokłócili się o nic.

A dokładniej o wszystko, co przez wiele tygodni udawało nic.

Hanna zapytała, czy zapłacił za prąd.

Leon powiedział, że jeszcze nie, ale przecież termin jest jutro.

Hanna powiedziała, że jutro to nie jest plan, tylko krawędź.

Leon odpowiedział, że nie chce żyć w lęku przed każdym terminem.

Hanna powiedziała, że odpowiedzialność nie jest lękiem.

Leon powiedział, że czasem odpowiedzialność jest lękiem przebrany za dorosłość.

Hanna krzyknęła:

— Nie rób ze mnie Wiktora!

Leon zamilkł.

To było zdanie, które wyszło za ostro i trafiło w nie to miejsce.

Usiedli po dwóch stronach kuchni.

Za oknem padał deszcz.

Rzeka była ciemna.

Po długiej ciszy Leon powiedział:

— Ja też nie chcę być twoim przeciwieństwem Wiktora.

Hanna spojrzała na niego.

— Co?

— Mam wrażenie, że najpierw byłem dla ciebie powietrzem, bo nie byłem nim.

Nie musiał mówić imienia.

— A teraz?

— Teraz jestem człowiekiem, który mieszka z tobą. I mam swoje braki, ciężary, zwyczaje, bałagan, uniki, lęki.

Hanna chciała się bronić.

Nie zrobiła tego.

Leon mówił dalej:

— Może przy mnie oddychałaś, bo nie byłem twoją codziennością.

To zdanie zabolęło ją bardziej niż kłótnia.

Bo było prawdziwe.

Nie całe, ale prawdziwe.

Przy stoisku z książkami Leon był oknem w dusznym życiu. W jego domu, podczas pierwszych wizyt, był przestrzenią bez pytań. W wynajętym mieszkaniu był człowiekiem, który przychodził i wychodził, zostawiając po sobie oddech, nie rachunki.

Teraz był rano, wieczorem, przy zlewie, przy praniu, przy terminach, przy zmęczeniu, przy własnym milczeniu, przy jej niepokoju.

Oddech spotkał codzienność.

I nie był już taki prosty.

Hanna wyszła przed dom.

Deszcz padał drobno. Nie wzięła kurtki. Stała na drewnianym ganku i oddychała chłodnym powietrzem. Po chwili Leon wyszedł za nią, ale nie podszedł za blisko.

— Przepraszam — powiedziała.

— Ja też.

— Nie wiem, czy umiem z tobą mieszkać.

Leon skinął głową.

Nie tak, jakby przyjął wyrok.

Raczej jak ktoś, kto słyszy zdanie ciężkie, ale uczciwe.

— A oddychać?

Hanna zamknęła oczy.

— Tak.

— To może nie wystarczy.

Powiedział to bez goryczy.

I właśnie to sprawiło, że zaczęła płakać.

Bo ludzie często niszczą oddech, próbując za wszelką cenę zrobić z niego dom.

Następne tygodnie były dziwne.

Nie rozstali się od razu. Nie ogłosili sobie żadnej wielkiej decyzji. Próbowali patrzeć na wspólne mieszkanie nie jak na dowód miłości, lecz jak na pytanie.

Zaczęli od rzeczy małych.

Rachunki w jednej szufladzie.

Kubki mogą stać różnie, ale naczynia po herbacie nie zostają na noc przy książkach.

Leon ma prawo milczeć, ale mówi: „potrzebuję ciszy”, a nie znika w ciszy.

Hanna ma prawo potrzebować domknięcia, ale sprawdza, czy nie próbuje zbudować z Leona bezpieczniejszej wersji Wiktora.

Stare rzeczy Leona zostają, ale nie wszystkie muszą leżeć na stole.

Nowe rzeczy Hanny przychodzą, ale nie wszystkie muszą dostać miejsce natychmiast.

To była praca trudniejsza niż zakochanie.

Zakochanie otwiera okno.

Mieszkanie sprawdza fundamenty, kanalizację, próg, kuchnię, sen, zmęczenie, cudze dzieci, własne lęki, sposób odkładania łóżki i to, czyje milczenie zajmie więcej miejsca.

Pewnego dnia przyszła do nich Marta, sąsiadka Leona.

Była kobietą prostą w najlepszym sensie. Wiedziała, kiedy ciasto jest gotowe, kiedy ziemniaki trzeba wykopać, kiedy dziecko kłamię ze strachu, a kiedy z bezczelności. Przyniosła jabłecznik i usiadła w kuchni.

Patrzyła na nich chwilę.

— Docieracie się? — zapytała.

Hanna uśmiechnęła się słabo.

— Chyba ścieramy.

Marta pokiwała głową.

— To czasem to samo. Byle nie do kości.

Leon nalał herbaty.

Marta spojrzała na Hannę.

— Ty przy nim odżyłaś.

Hanna zamilkła.

— Widać — dodała Marta. — Ale odżyć przy kimś i zamieszkać z kimś to nie to samo.

Leon popatrzył na nią z zaskoczeniem.

— Skąd ty takie rzeczy bierzesz?

— Z życia, nie z książek.

Hanna zapytała cicho:

— I co wtedy?

Marta ukroiła kawałek jabłecznika.

— Wtedy trzeba sprawdzić, czy okno może być częścią domu. A jeśli nie może, nie trzeba tłuc szyby.

To zdanie zostało z Hanną.

Przez kolejne miesiące sprawdzali.

Uczciwie.

Czasem im się udawało. Czasem nie.

Były wieczory piękne, gdy Hanna czytała przy stole, Leon naprawiał ramę, a między nimi było powietrze i ciepło. Były poranki trudne, gdy ona potrzebowała planu dnia, a on wyglądał, jakby samo pytanie o plan odbierało mu życie. Były klótnie, po których wracali szybciej niż dawniej. Były dni, kiedy Hanna czuła: tak, mogę tu mieszkać. I dni, kiedy czuła: oddycham przy nim, ale nie odpoczywam z nim.

Najbardziej bolało to, że obie prawdy były prawdziwe.

Ludzie lubią, gdy jedna prawda unieważnia drugą.

Jeśli przy nim oddycham, powinnam umieć z nim mieszkać.

Jeśli nie umiem z nim mieszkać, to znaczy, że oddech był złudzeniem.

Ale życie rzadko jest tak posłuszne.

Przy niektórych ludziach ciało mówi: tutaj nie muszę się bronić.

A codzienność po czasie pyta: czy potrafimy razem wynosić śmieci, płacić rachunki, chorować, milczeć, budzić się, spierać o sól, szanować cudzą kolejność, nie zamieniać ulgi w obowiązek?

To są inne pytania.

Po roku Hanna podjęła decyzję.

Nie dramatyczną.

Nie uciekła.

Nie trzasnęła drzwiami.

Wynajęła z powrotem małe mieszkanie, tym razem trochę większe, z oknem na podwórko i miejscem na stół.

Leon pomagał jej przenosić rzeczy.

Milczeli dużo.

Nie była to cisza dawnej ulgi. Była ciszą ludzi, którzy coś zrozumieli za późno, ale nie za późno na ocalenie prawdy.

Kiedy wnosili ostatni karton, Hanna usiadła na podłodze.

— Boję się, że to znaczy, że nam się nie udało — powiedziała.

Leon usiadł naprzeciw.

— A co miało się udać?

— Dom.

— Może udało się nie zrobić z okna więzienia.

Rozpłakała się.

Leon też miał mokre oczy, choć nie lubił tego pokazywać.

— Kochasz mnie? — zapytała.

— Tak.

— A ja ciebie.

— Wiem.

— To dlaczego...

Nie dokończyła.

Leon dokończył inaczej:

— Bo nie każdy człowiek, przy którym oddychasz, jest człowiekiem, z którym umiesz mieszkać.

Zdanie przyszło spokojnie.

Jak coś, co nie oskarża.

Hanna powtórzyła je w myślach.

Nie każdy człowiek, przy którym oddychasz, jest człowiekiem, z którym umiesz mieszkać.

W tym zdaniu nie było porażki.

Był porządek.

Leon nadal przychodził.

Rzadziej.

Inaczej.

Czasem pili herbatę przy stole Hanny. Czasem szli nad rzekę. Czasem nie widzieli się przez dwa tygodnie i nie robili z tego dowodu oddalenia. Nie byli parą w prostym społecznym sensie, ale nie stali się też obcymi. Ich relacja straciła przymus zostania domem i dzięki temu nie musiała umrzeć jako okno.

Wiktor także powoli zmieniał się w oddali.

Nie dlatego, że Hanna odeszła do Leona. Raczej dlatego, że jej odejście pozbawiło go złudzenia, iż porządek jest tym samym co bliskość. Spotkali się kiedyś przy urodzinach wnuka. Wiktor podał jej kawę.

— Bez cukru? — zapytał.

— Już z cukrem.

— Nie wiedziałem.

— Dużo rzeczy się zmieniło.

Skinął głową.

— U mnie kubki nadal stoją uszami w jedną stronę.

Hanna uśmiechnęła się.

— To nie grzech.

— Wiem. Grzechem było myśleć, że wszyscy muszą oddychać w tę samą stronę.

Nie odpowiedziała.

Nie musiała.

Nie wrócili do siebie.

Nie każde zrozumienie cofa życie.

Czasem tylko przestaje zatruwać pamięć.

Po latach Hanna prowadziła małe miejsce z książkami i herbatą. Nie nazwała go księgarnią, kawiarnią ani gabinetem. Na szyldzie było tylko:

Okno

Ludzie przychodzili tam czytać, siedzieć, rozmawiać albo milczeć. Hanna nie pytała od razu, czego szukają. Nauczyła się od Leona, że najpierw trzeba zostawić człowiekowi trochę powietrza.

Na jednej ze ścian powiesiła zdanie:

Nie każde okno jest domem.

Pod spodem, mniejszym pismem:

Nie każdy człowiek, przy którym oddychasz, jest człowiekiem, z którym umiesz mieszkać.

Niektórzy czytali i natychmiast rozumieli.

Inni się oburzali.

— To smutne — powiedziała kiedyś młoda kobieta.

— Może.

— Jakby pani nie wierzyła w miłość.

Hanna spojrzała na nią łagodnie.

— Przeciwnie. Wierzę tak bardzo, że nie chcę kazać każdej miłości udawać mieszkania.

Młoda kobieta milczała.

— A jeśli ktoś przy kimś oddycha? — zapytała.

— To trzeba to uszanować.

— I zamieszkać?

— Niekoniecznie.

— To po co taki człowiek?

Hanna uśmiechnęła się smutno.

— Może po to, żebyś przypomniła sobie, że masz płuca. Nie każdy, kto ci to przypomina, ma potem dzielić z tobą łazienkę, rachunki i poranek.

Kobieta zaśmiała się przez łzy.

— To dziwnie praktyczne.

— Dom jest praktyczny. Oddech nie zawsze.

Do „Okna” przychodził czasem Leon.

Siadał przy stoliku pod ścianą i naprawiał drobne ramki, które Hanna przynosiła mu od klientów. Nadal zostawiał filiżankę nie tam, gdzie trzeba. Hanna czasem przestawiała ją bez gniewu. Czasem zostawiała. Czasem mówiła:

— Leon, filiżanka.

A on odpowiadał:

— Już.

I zabierał.

To była ich mała nauka po domu, którego nie utrzymali.

Nie potrzebowali już sprawdzać, kto zawinił bardziej.

Nie każdy brak wspólnego mieszkania jest winą.

Czasem dwa rytmy są prawdziwe, ale nie dają się położyć na jednej podłodze bez utraty oddechu jednego z nich.

Pewnego jesiennego dnia Hanna siedziała sama po zamknięciu. Za oknem padał deszcz. W środku pachniało herbatą, papierem i drewnem. Na stole leżał tomik wierszy, pierwszy, który kupiła od Leona. Ten za trudny.

Otworzyła go.

Między stronami znalazła starą pocztówkę z rzeką.

Na odwrocie, jej własnym pismem sprzed lat, było jedno zdanie:

Przy nim oddycham.

Hanna długo patrzyła na te słowa.

Nie przekreśliła ich.

Nie dopisała: „myliłam się”.

Bo się nie myliła.

Wtedy naprawdę oddychała.

Tylko że później chciała z oddechu zbudować cały dom.

A oddech nie jest cegłą.

Oddech jest znakiem, że gdzieś otworzyła się przestrzeń.

Czasem z tej przestrzeni można zbudować dom.

Czasem trzeba tylko podziękować oknu.

Hanna wzięła pióro i pod spodem dopisała:

To było prawdziwe. Nie było wystarczające do mieszkania.

Potem zamknęła książkę.

Następnego dnia przysłała do niej Łucja, córka Wiktora i Hanny. Miała za sobą trudne rozstanie. Usiadła przy stole i powiedziała:

— Mamo, ja chyba kogoś zostawiłam, przy kim pierwszy raz mogłam oddychać.

Hanna nalała herbaty.

— Dlaczego?

— Bo kiedy zamieszkaliśmy razem, zaczęłam znowu nie oddychać. Tylko inaczej. I mam poczucie, że zdradziłam coś świętego.

Hanna usiadła naprzeciw niej.

— Może nie zdradziłaś. Może nie kazałaś oknu zostać ścianą nośną.

Łucja spojrzała na napis na ścianie.

Czytała go wcześniej wiele razy, ale dopiero teraz wszedł w nią cały.

— To boli.

— Wiem.

— To znaczy, że miłość nie wystarcza?

Hanna pomyślała o Wiktorze, Leonie, rzece, kubkach, rachunkach, pękniętej filizance, domu bez powietrza i domu bez podłogi.

— Czasem miłość wystarcza do prawdy spotkania — powiedziała. — Ale nie wystarcza do każdej formy życia.

Łucja płakała cicho.

— To bardzo niesprawiedliwe.

— Tak.

— I co z tym zrobić?

Hanna podała jej chusteczkę.

Tak jak kiedyś Leon podał jej.

Nie po to, żeby uciszyć łzy.

Po to, żeby mogły płynąć bez upokorzenia.

— Najpierw nie kłamać — powiedziała. — Ani o oddechu, ani o domu.

Wieczorem, gdy Łucja wyszła, Hanna otworzyła okno.

Do środka weszło zimne powietrze.

Przez chwilę było za chłodno.

Potem dobrze.

Na ulicy ludzie spieszyli się pod parasolami. W mieszkaniu nad herbaciarnią ktoś przesunął krzesło. Rzeka za domami szła swoim ciemnym nurtem.

Hanna oddychała.

Sama.

Nie samotnie.

To też musiała kiedyś odróżnić.

Bo są ludzie, przy których uczymy się oddychać.

Są ludzie, z którymi uczymy się mieszkać.

Są ludzie, przy których nie umiemy ani jednego, ani drugiego.

I jest jeszcze najcichsza nauka: zamieszkać w sobie tak, żeby cudzy oddech nie musiał natychmiast stawać się domem.

Na parapecie leżała kartka. Hanna zapisała na niej kilka zdań, które potem zostały w „Oknie” na długo:

Oddech przy człowieku mówi: tu mogę na chwilę opuścić gardę.

Dom pyta: czy mogę opuszczać gardę codziennie, także wtedy, gdy nic pięknego się nie dzieje?

Nie każde okno jest domem.

Nie każde oddychanie jest zaproszeniem do wspólnego mieszkania.

Nie każda niemożność mieszkania unieważnia prawdę oddechu.

A na samym dole, już bardzo małymi literami:

Jeśli przy kimś oddychasz, nie spiesz się z wnoszeniem szafy.